

## **Mateusz Dziób: Krotki szkic o wierze i jej formie**

Kryzys wiary niemal zawsze idzie w parze z kryzysem formy, którą ta wiara przybiera



**Kryzys wiary niemal zawsze idzie w parze z kryzysem formy, którą ta wiara przybiera**

Forma to coś przed czym nie ma ucieczki. Chcąc nie chcąc, prędzej czy później musimy jakąś formę przyjąć. Czasami nasze życie to wręcz dramatyczne jej poszukiwanie. Kiedy indziej – nieustanna przed nią dezercja. Forma to coś, co nas konstytuuje, ale jednocześnie też coś co sami możemy kształtować. Każda religia również przyjmuje jakąś

formę. Definicja Durkheima głosi np., iż *religia jest systemem powiązanych ze sobą wierzeń i praktyk* (odnosi się więc głównie do formy tejże). Nie inaczej jest z innymi definicjami – zdecydowana większość z nich kładzie nacisk na główne elementy konstytuujące religię, czyli kult i rytuał. Religijność (bądź jej brak) jest wobec tego widoczna na pierwszy rzut oka. Dlatego, obserwując postawę człowieka, możemy określić, czy jest on religijny czy też nie. Idąc dalej tym tokiem myślenia - człowiek religijny jest o wiele bardziej uwikłany w formę niż człowiek niereligijny. Tutaj jednak zaczynają się schody. Zauważyłem bowiem, iż kryzys wiary prawie zawsze idzie w parze z kryzysem formy jaką ona przybiera.

### **Wyjście poza formę**

Przypadek pierwszy to prawie całkowite opuszczenie formy. Jednostka w takim przypadku sama siebie wyłącza niejako poza nawias religii. Bo co to za wiara, która nie tyle nawet nie ma oparcia w doktrynie Kościoła o ile bywa z nią nawet sprzeczna? Czy po takiej stopniowej dewaluacji zostaje nam jeszcze cokolwiek z prawdziwej wiary? Ten proces można zilustrować za pomocą schodów. Jednostka stopniowo rezygnuje z wyznawania pewnych wartości, by w rezultacie nie wyznawać już niczego (jeśli zejdzie ona już całkowicie z tych schodów). Taką postawę prezentują głównie środowiska *postępowe* i skrajnie otwarte. Swoją drogą żywię ogromny szacunek dla przedstawicieli tej właśnie opcji. Ja nie umiałbym być chyba członkiem Kościoła, który ciągle podważałby moje poglądy i występował często nawet wprost przeciwko mnie.

Czy taka wiara ma jeszcze jakąś wartość? Czymże jest wiara bez jej formy? Więcej w niej chyba sprzeczności niż jakiegokolwiek prawdy (już nie mówię tutaj o Prawdzie przez duże P). Nie jest ona już tym czym powinna być, czyli poszukiwaniem. Staje się za to czymś przeciwnym – stopniowym zatracaniem, czegoś co już mamy. Czy ktoś, kto przyjmuje taką postawę jest rzeczywiście jeszcze osobą wierzącą? Celem takiej osoby ma w założeniu być zbliżenie się do Boga. Niestety, w praktyce także dokonuje się tutaj coś sprzecznego. Bóg, w obliczu takiej sekularyzacji, staje się transcendentny i obcy. Jak z takim transcendentnym bytem nawiązać jakąkolwiek relację? Jak zwracać się do niego skoro jest On tak bardzo odległy? Ma tutaj miejsce paradoksalna sytuacja, która wyrazić można w popularnym (zwłaszcza w populacji gimnazjalistów) sloganie *Bóg tak, Kościół – nie*.

Oczywiście upraszczam tutaj nieco obraz rzeczywistości. Każda bowiem religia daje swojemu wiernemu pewien margines swobody (katolicyzm np. jest tutaj niezwykle liberalny). Nie jest tak, iż negacja jednej bądź kilku rzeczy automatycznie powoduje porzucenie formy. Jednakże w takim przypadku ta forma już nosi jakieś pęknięcia i staje się niespójna. Daje więcej pytań niż odpowiedzi Bo czym innym jest religia, niż poszukiwaniem odpowiedzi na podstawowe i egzystencjalne pytania?

### **Kiedy forma staje się kryjówką**

Po całkiem przeciwnej stronie barykady stoją ci, którzy nie pozbyli się formy, ale jeszcze bardziej się w nią przystroili. Ciężko się oprzeć wrażeniu, że pozostaje tutaj niestety tylko sama - pusta na dodatek - forma. Komuś, kto chce bliżej spojrzeć na tę postawę polecam sięgnąć

do książeczki (bo 100 stron to raczej nie książka) Briana Moore'a – *Katolicy*. Pisarz przedstawia w niej świat i Kościół w fikcyjnej rzeczywistości rozgrywającej się po Soborze Watykańskim III. Jednak jest to tylko pretekst do opisu kryzysu wiary. Kryzys, który spotyka opata z Muck jest właśnie kryzysem popadnięcia w samą tylko formę. Żywą wiarę zastępuje przyzwyczajenie. Opat (tak przynajmniej ja to odczytałem) radykalizacją swoich postaw chce sobie i innym za wszelką cenę udowodnić iż jest osobą wierzącą, podczas gdy tak naprawdę chyba nie wierzy już wcale. Została mu jedynie forma, którą broni się ze wszystkich sił. Dlatego też buntuje się przeciw postanowieniom Soboru Watykańskiego III i dlatego też wciąż odprawia mszę po łacinie.

I na naszym podwórku nie brak opatów z Muck. Często bowiem ostentacja w ukazywaniu swojej wiary idzie w parze właśnie z osobistym jej kryzysem. Tych, którzy przyjmują taką postawę cechuje pewien rodzaj faryzeizmu, w którym rzeczywiście litera staje się ważniejsza od ducha. Pewne reguły przestrzega się nie dlatego, iż mają one jakiegokolwiek znaczenie, ale wciela się je w życie *bo tak*. Tak jest i już! O ile w przypadku opuszczenia formy tej refleksji nad pewnymi zagadnieniami było za dużo, o tyle tutaj tego zastanowienia się brak. Wiara zamiast być strawą duchową staje się samą tylko sztuką dla sztuki. Nie przynosi bowiem już żadnych owoców.

Skutkiem przybrania takiej postawy – pewnego rodzaju *ubóstwienia* formy jest zamknięcie się w pewnym getcie. Poza gettem wszystko jest złe, a prawdziwe życie toczy się w sztucznej społeczności chronionej przez grube mury obronne tego właśnie getta. Z niego niedaleko do kryjówek, w których mieszkają ludzie opisani przez księdza Tischnera: *dla człowieka otwartej przestrzeni środkiem do osvajania jest rozumienie: człowiek ten czuje się swojsko wśród tych, których*

*zrozumiał i którzy jego zrozumieli. Dla człowieka pozostającego w kryjówce, aby owoić trzeba osiąść, zawładnąć, poddać. Niewolnicy formy nigdy nie prowadzą dialogu. Oni tylko potępiają i agresywnie grzmą. Stawiają się z góry na pozycji wyższej niż ich potencjalni ideologiczni przeciwnicy. Świadomie używam słowa *ideologia* bowiem wiara w takiej postawie jest bardziej ideologią niżli rzeczywistym wydarzeniem czy też spotkaniem (por. Benedykt XVI, *Deus caritas est*, nr 1).*

## **Złoty środek**

Jak więc powinna wyglądać relacja prawdziwej wiary (naszego wnętrza) do jej formy (postawy jaką przybieramy)? Powinny one być doskonale dopasowane i nawzajem się wypełniać. Nie istnieje forma bez wiary i wiara bez formy. Wiara powinna być formą i na odwrót. Tylko wtedy możemy mówić o tzw. dojrzałej religijności, czyli stanie, w którym jednostka maksymalnie internalizuje zasady wyznawanej przez nią religii i przedkłada je na postępowanie w swoim codziennym życiu. Justyna i Paweł Rojkowie piszą w ostatnich *Pressjach* (s.48), że *forma jest pojęciem niezwykle szerokim. Obejmuje szereg aktywności człowieka, między innymi język, wzory kultury, normy, narracje, relacje poznawcze, stosunki walki, miłości, pożądania i tak dalej. Wszystkie one służą tworzeniu świata, nadawaniu sensu, porządkowaniu rzeczywistości.* Brzmi to niemal jak definicja samej religii. Zresztą samo słowo religia pochodzi ponoć od łac. *religare*, czyli *powtórnie wiązać* (tamże). Dlatego też, przed formą – zwłaszcza na gruncie wiary – nie ma ucieczki.

*Mateusz Krzysztof Dziób*

